Należytość pocztową zapłacono ryczałtem.
Rok VII. Lwów, styczeń 1930. Nr. 1



PISMO DLA DZIECI I MŁODZIEŻY.

Dobra rada.

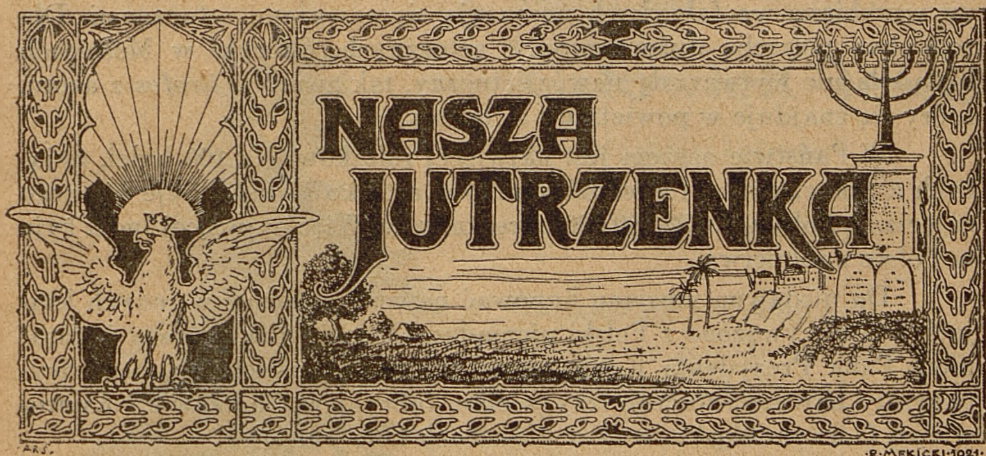
Postanawiaj sobie codziennie, drogie dziecko, być lepszym dziś, niźli byłeś wczoraj. Miłować więcej dziś, niźli miłowałeś wczoraj, i zmów każdego ranka tak: Muszę dziś coś takiego zrobić, ażebym uczuł słodycz w sumieniu i żeby się matka moja i ojciec mój cieszyli ze mnie; coś takiego, zaco by mnie kochał ten lub ów kolega, nauczyciel, mały mój brat, lub ktokolwiek inny.

I proś Boga o siłę do spełnienia przedsięwzięcia tego i mów tak: Boże, ja chcę być dobry, szlachetny, odważny, uczciwy, szczery... Pomóż mi! Uczyń, abym co wieczór, gdy matka moja całuje mnie na dobranoc w czoło, mógł jej powiedzieć: — Mamo, całujesz dzisiaj lepsze i godniejsze pocałunku twego dziecko, niźli wczoraj.

Edmund de Amicis.



Rok VII. Lwów, styczeń 1930 Nr. 1



PISMO DLA DZIECI I MŁODZIEŻY.

Mościce.

W niedalekiej odległości od Tarnowa na północ wybudowano w ostatnich paru latach nowe miasto fabryczne. Nazwano je „*Mościce*" dla upamiętnienia nazwiska Pana Prezydenta Rzeczypospolitej, profesora Ignacego Mościckiego, który pierwszy zorganizował taką wielką fabrykę w Chorzowie na Górnym Śląsku i wskazał na wielkie korzyści dla Państwa z takich fabryk. Nowa fabryka w Mościcach powstała także za staraniem Pana Prezydenta Mościckiego i będzie służyła dla dobra ludności całego Państwa.

Przejeżdżając koleją obok Tarnowa, widzi się z okien wagonów wielką ilość kominów, ogromne budynki fabryczne prostokątne, szerokie jezdnie, sadzawki, tory kolejowe, wielką ilość nowych budynków mieszkalnych, otoczonych ogrodami — słowem miasto przemysłowe, podobne do miast takich na Śląsku. Szczególnie pięknie wyglądają Mościce wieczorem przy świetle tysięcy latarń, ustawionych w dwu rzędach w rozmaitych kierunkach.

Co będą wyrabiały fabryki w Mościcach?

Będą one wytwarzały bardzo pożyteczne wyroby dla rolnictwa.

Ażeby ziemia wydawała ze siebie co roku dobre zboża i dobre jarzyny, musi się dodawać jej pewien rodzaj jakby pokarmu, tak jak ludziom i zwierzętom daje się pokarmy, ażeby mogli pracować. To, co daje się ziemi, ażeby rosło na niej lepiej, nazywa się nawozem. A nawo-

zy wyrabiane we fabrykach nazywają się nawozami sztucznemi. Dla rolnictwa potrzeba dużo nawozów sztucznych. Fabryki w Mościcach będą właśnie wytwarzały nawóz sztuczny, tak zwany *Nitrofos* z azotu, który się znajduje w powietrzu i z fosforu.

W Państwie naszem jest najwięcej rolników. Na 100 ludzi, żyjących z pracy, jest w Polsce 65 rolników, a tylko 35 ludzi żyje z innego zajęcia. A Polska ma 28,880.000 mieszkańców. Więc najwięcej ludzi żyje w Polsce z rolnictwa.

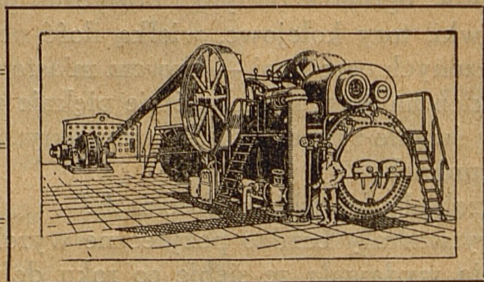
Do niedawna musiano kupować nawozy sztuczne w innych krajach i tam wywożono z Polski pieniądze. Obecnie dzięki pracy i staraniom Pana Prezydenta Rzeczypospolitej prof. Mościckiego, będą wytwarzały nawozy sztuczne trzy wielkie fabryki w Chorzowie i Knurowie na Górnym Śląsku, oraz w Mościcach koło Tarnowa.

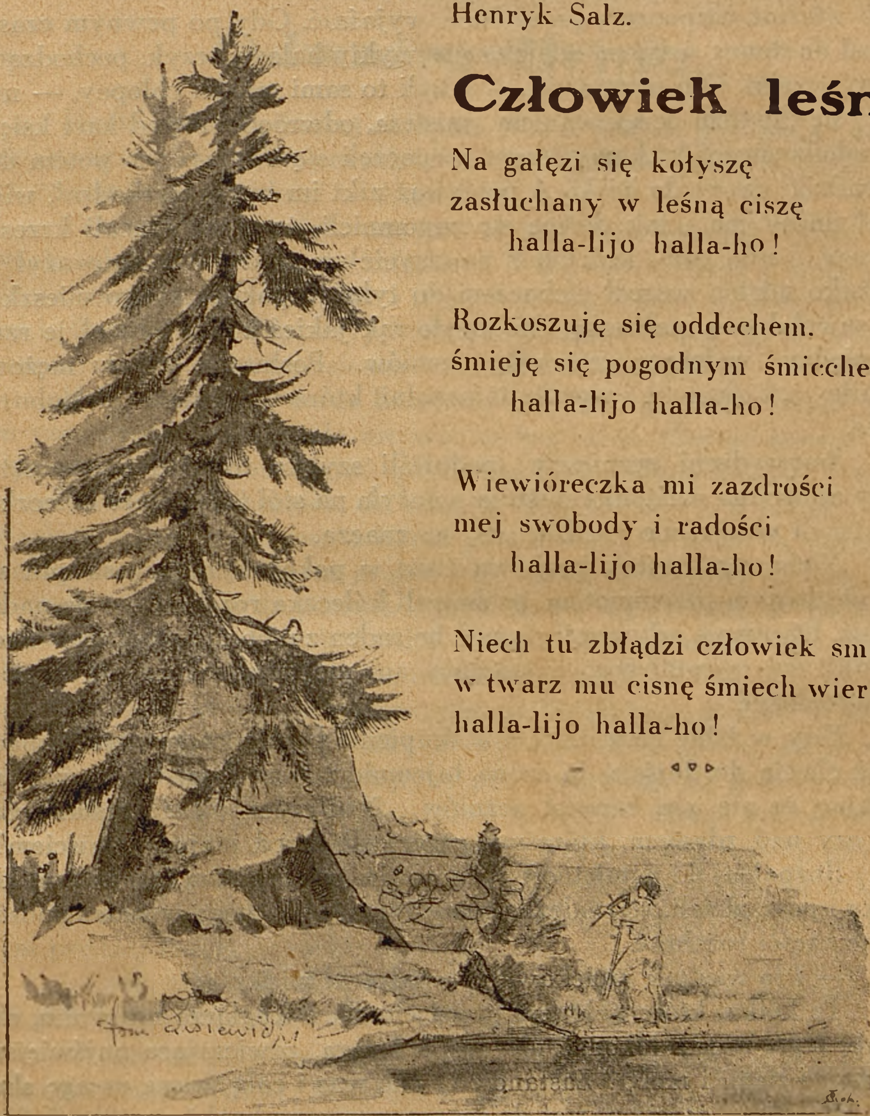
Wartość wytwarzanych nawozów sztucznych w Polsce wynosi już dzisiaj wiele miljonów złotych, a mimo to nie można jeszcze zakupić w kraju tyle nawozu sztucznego, ile potrzeba dla rolnictwa. Fabryki więc w Mościcach przyczynią się bardzo do wzbogacenia kraju.

Im więcej fabryk będzie w Polsce, tem bogatszem będzie Państwo, a ludność błogosławić będzie tych wielkich mężów, którzy wskazali jej drogę do dobrobytu i powodzenia.

W dniu 18 stycznia b. r. odbyła się wspaniała uroczystość otwarcia fabryki w Mościcach. Na uroczystość przyjechał Pan Prezydent Rzeczypospolitej prof. Mościcki, Pan Prezydent Rady Ministrów prof. Bartel z Ministrami, oraz wiele zaproszonych gości. Wszyscy podziwiali olbrzymią fabrykę i powstałą nową gminę, wybudowaną zaledwie w ciągu 30 miesięcy.

Dziatwa i młodzież szkolna całego Państwa przesyła Mościcom „Szczęść Boże“ i najlepsze życzenia pomyślności.





Henryk Salz.

Człowiek leśny.

Na gałęzi się kołyszę
zasłuchany w leśną ciszę
halla-lijo halla-ho!

Rozkoszuję się oddechem.
śmieję się pogodnym śmiechem
halla-lijo halla-ho!

Wiewióreczka mi zazdrości
mej swobody i radości
halla-lijo halla-ho!

Niech tu zbłądzi człowiek smutny
w twarz mu cisnę śmiech wierutny
halla-lijo halla-ho!

Mistrz.

W dawnych czasach żył mąż wielce uczony, który cieszył się niezwykłą sławą mądrości. Miał on wielu uczniów, którzy korzystali z jego wiedzy, upajając się nią jak kryształną wodą krynicy.

Zdarzyło się raz, że mistrz opuścił dom i udał się na naradę starszyzny miasta. Zostawił swych uczniów i kazał im pewien

ustęp właśnie rozpoczęty przerobić i wyjaśnić. Gdy po pewnym czasie wracał do domu, usłyszał zdaleka niezwykły hałas i krzyk, pochodzący z jego uczelni. Oto uczniowie, — a byli to sami młodzi chłopcy, — nudząc się długiem oczekiwaniem mistrza, odwrócili się od kart księgi i w młodzieńczej lekkomyślności rozpoczęli się swarzyć, co potem doprowadziło nawet do bójki. A ponieważ nikt im nie przeszkadzał, więc zapał unosił ich i tak dalece się zapomnieli, że powywracali krzesła a nawet i stół, przy którym z nauczycielem siadywali. Zauważył to wszystko mistrz, wszedł cichaczem do tylnego pokoju swego mieszkania, zawołał swą małżonkę, dał jej do rąk jakieś kółka i kazał je rzucić między walczącą gromadkę uczniów. Posłuszna swemu mężowi spełniła jego zlecenie i weszła do uczelni, która wyglądała jak pobojowisko.

Zawstydzeni uczniowie podnieśli szybko rozrzucone sprzęty, a gdy czcigodna małżonka mistrza położyła na stół tajemnicze kółeczka, popatrzyli na nie, nie wiedząc, co one znaczą.

Niebawem nastała grobowa cisza w pokoju; chłopcy skupili się nad nieznanym przedmiotem, próbowali kółeczka rozebrać — ale nadaremnie. Daremnie szły z rąk do rąk, bo żaden z nich nie mógł zrozumieć zagadki, ich tajemniczego połączenia, ani nie mógł ich na pojedyncze kółka rozłożyć.

Gdy w izbie cisza trwała a skupienie było spotęgowane rosnącą wciąż chęcią do dojścia do sedna tajemnicy, wszedł mistrz do uczelni i udając, że nie wie, zapytał uczniów: „Nad czem tak się zastanawiacie? czy nad zdaniem, któreśmy przerwali przed mojem odejściem?“

Rozpaleni do namiętności uczniowie, pokazali mu tajemnicze kółeczka i powiedzieli, że znaleźli je na stole i że nie mogą w żaden sposób ich na części rozebrać.

— I to was tak zaciekawiło? — odrzekł mistrz.

Te kółka, które nabyłem przed chwilą u kuglarza na rynku, dokonały tego, czego dokonać nie mogła księga, zawierająca najświętsze tajemnice ziemi i nieba? Zastanowiły one was i całą waszą uwagę skupiły tak dalece, żeście nawet dziecinne wasze wybryki przerwali. Czy nie są godniejsze zastanowienia rzeczy wzniosłe i wieczne? A cóż powinno ludzi prędzej jednoczyć, niż tajemnica bytu i niezgłębiona zagadka mądrości? Czyście nie słyszeli, że gdzie ludzie nad wielkiemi zagadnieniami się zastanawają, tam duch Boży się unosi nad nimi?“

Zawstydzili się bardzo uczniowie, albowiem domyślili się, że mistrz wszystko widzieć musiał, co przedtem urządzili, — on zaś kilku zgrabnemi ruchami rozwiązał prostą i pojedynczą sztuczkę jarmarcznego kuglarza.

A. Spaet.

Odważny Henio.

Henio nudzi się dzisiaj okropnie. Mama posłała jego buciki do naprawy. Szewc obiecał wprawdzie, że będą gotowe jutro raniutko, ale tymczasem trzeba siedzieć w domu.

Przytem jak na złość wszyscy wyszli; żeby chociaż Hanka była została, ale i ona poszła do koleżanki. Wprawdzie Henio z siostrą bawić się nie lubi, bo jak mówi z babami niema dobrej zabawy, ale dzisiaj byłby już i Hankę przyjął, żeby tylko mieć kogoś, bo to przecież okropnie niemiło i nudnie siedzieć samemu w mieszkaniu.

Henio nudzi się coraz bardziej; chciałby się czemś zająć, żeby mu czas prędzej minął, ale nie wie, co ma robić. Czytać zanadto nie lubi, — to jest lubiłby czytać, gdyby miał jaką ładną książkę, ale Henio nie miał nigdy szczęścia do książek. Koledzy jego tyle czytają i zachwalają nieraz to lub owo a Henio jeszcze nigdy w życiu na porządną książkę nie trafił. Jedna za gruba, więc zanim się dojdzie do końca, to się zapomni, co było na początku, inna znowu taka cienka, że zaczynać nie warto; w tamtej druk bardzo drobny, można sobie oczy popsuć a Henio nie ma wcale ochoty na okulary.

Dzisiaj brat jego, wiedząc o tem, że Henio musi siedzieć w domu, przyniósł mu z bibljoteki książkę do czytania, nie za grubą, nie za cienką, a druk w niej taki, że i ślepyby przeczytał, ale cóż nowe nieszczęście! Książka ma tytuł: „Wśród lodów północy". Henio takich rzeczy czytać nie może, bo zaraz dostaje kataru, tem bardziej dzisiaj, gdy nie ma bucików, tylko lekkie pantofle, mogłaby mu taka wyprawa w kraje podbiegunowe bardzo zaszkodzić. Oho! niema głupich! Henio odkłada czem prędzej książkę i nudzi się dalej.

— Ach, żeby tak mieć buciki, toby to była zabawa! Dzisiaj właśnie miała się odbyć wielka bitwa z oddziałem A.

— Jak oni sobie bezemnie dadzą radę? myśli zatroskany Henio, bo trzeba wam wiedzieć, że Henio w bitwach nigdy nie jest żołnierzem, tylko zawsze obejmuje naczelne dowództwo.

Już to prawdę powiedziawszy, trudno znaleźć tak dzielnego i odważnego chłopca jak Henio. W bitwie zawsze zwycięża. Bije się wprawdzie zwykle z chłopcami znacznie mniejszymi od siebie, bo więksi mają nieraz bardzo ciężkie łapy, — jak mówi Henio. — ale w bitwie przecież chodzi tylko o zwycięstwo, a nikt się nie pyta, jakiego wzrostu był pokonany nieprzyjaciel, bo to do rzeczy nie należy.

Jeżeli chodzi o to, by się wdrapać na drzewo, czy przebiec przez ulicę tuż przed jadącym tramwajem, — Henio do tego zawsze pierwszy. Nie boi się niczego i nikogo. Nawet posterunkowego się nie ulęknie.

Kiedy był w mieście tydzień nauki chodzena, wtedy Henio tuż przed nosem posterunkowego przeszedł naukos przez plac, zamiast pod kątem prostym, jak nakazywały przepisy. — Prawda, że o mało co go wtedy automobil nie przejechał; skończyło się na szczęście tylko na tem. że Henio silnie potrącony przez auto, upadł i potłukł się trochę, a ponieważ było błoto, więc zniszczył sobie nowe ubranie, ale pokazał zato, co to znaczy odwaga!

Henia wszyscy znają, wiedzą, że to prawdziwy rycerz, co nie zna żadnej trwogi. Niejeden z pewnością zazdrości mu jego męstwa!

Rozmyślał tak Henio w ciszy pustego mieszkania o swych bohaterskich czynach, gdy nagle z zamyślenia wyrwał go jakiś dziwny szelest. Z początku słyszało się tylko tak, jakby ktoś poruszał kartkami papieru, potem szelest stawał się coraz wyraźniejszy, ostrzejszy, jakby ktoś czemś skrobał po ścianie, czy łamał cienkie drzazgi. Henio w jednej chwili zbladł z przerażenia.

— Co to może być? pomyślał. — Czy to jakiś włamywacz chce ścianę przepiłować i w ten sposób dostać się do mieszkania? Henio chce uciekać, lecz nie może, jakby przyrósł do krzesła, z przerażenia palcem nawet poruszyć nie potrafi.

Tymczasem tajemniczy szmer ucichł na chwilę, ale wkrótce powtórzył się jakby gdzieś tuż za Heniem. Teraz Henio przerażony skoczył na równe nogi, pędem wybiegł z pokoju, wpadł do kuchni i wsunął się pod łóżko służącej. Tutaj poczuł się trochę bezpieczniejszym. Przecież złodzieje — myśli sobie, — mają co zabierać z pokoju, pocóżby przychodzili do kuchni, wiedzą doskonale, że tu nic wartościowego nie znajdą, a już z pewnością pod łóżkiem służącej niczego szukać nie będą. Zupełnie jednak spokojnym Henio nie był i z trwogą czekał co będzie dalej.

A co się tymczasem działo w pokoju? Gdy Henio zerwal się z krzesła, tajemniczy szelest ucichł, widać włamywacz spłoszony zaprzestał roboty. Po chwili skrobanie powtórzyło się, trwało czas jakiś, coraz silniejsze i coraz szybsze; jeszcze jeden szmer głośniejszy i tajemniczy wróg znalazł się w pokoju...

W szarem futerku, patrząc bystro czarnemi świecącemi oczkami, zwinnie i zgrabnie z kąta za szafą wybiegła na środek pokoju mysz. Nadsłuchiwała chwilkę, a widząc, że nic jej nie grozi, po obrusie wbiegła na stół i zaczęła zajadać resztki podwieczorku, zostawionego przez Henia.

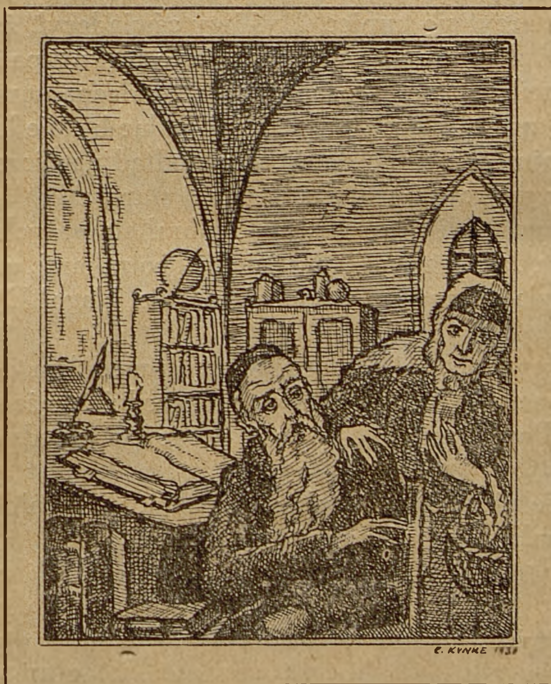
A tam w ciemnej kuchni pod łóżkiem leżał Henio i nadsłuchiwał z bijącem sercem, co robią włamywacze...

Dzielny rycerz, który nie bał się nikogo i niczego, drżał teraz z trwogi przed małą myszką.

Z. L.

Mąż bogobojny.

Żył sobie kiedyś mąż bogobojny, obarczony kilkorgiem dzieci. Dniem i nocą przesiadywał nad torą, którą kochał nad życie, i nie troszczył się o utrzymanie domu, ufając Bogu, że go w biedzie nie opuści. Ale ponieważ jak to mówi przysłowie, zamożność nie chadza w parze z nauką (lo lachachamim lechem), nie miał ów mąż bogobojny nic, ponad kawałka suchego chleba i dzbanka wody. Pewnego razu, gdy już suchego nie stało, rzekła do niego żona:



Wyjdź do miasta, może Bóg cię wynagrodzi za twój bogobojny żywot i ześle ci zarobek!"

— Co będziemy jeść odtąd? dzieci domagają się posiłku, a nie mam niczego. Dość-że tej nauki! wyjdź do miasta, może Bóg cię wynagrodzi za twój bogobojny żywot i ześle ci zarobek, by utrzymać nas przy życiu.

Ponieważ jednak nie miał co ubrać, udała się żona do poczciwych sąsiadów, pożyczyła jakie takie ubranie, mąż się ubrał, i, zdając się na łaskę niebios, ucałował mezuzę (pergamin z nazwą Boga, przybity do drzwi) i udał się na targ.

Na targu ruch. hałas. nawoływania, a mąż bogobojny stoi w kącie i czeka. Mijały godziny, słońce już kończyło swą dzienną przechadzkę i chyliło się ku zachodowi, gdy oto zbliżył się do męża człowiek w zielonem ubraniu myśliwego z pióropuszem u kapelusza i powiedział:

Jestem prorokiem Eljaszem (Eliahu hanawi'). Ogłoś na targu, że masz na sprzedaż niewolnika.

Przeraził się mąż bogobojny: jakże? więc on, sługa, ma sprzedać swego pana jako niewolnika? Ale po długich perswazjach, kiedy mu myśliwy wyjaśnił, że w celu ratowania go od śmierci głodowej mu się objawił, zgodził się mąż bogobojny sprzedać myśliwego.

Wnet nadarzył się kupiec. Myśliwy oświadczył, że jest budowniczym i potrafi zbudować w krótkim czasie piękny pałac. Kupiec się ucieszył, wypłacił mężowi bogobojnemu ugodzoną sumę, i przyrzekł myśliwemu, że zwolni go ze służby, jeżeli pałac będzie ładnie zbudowany. Mąż bogobojny wrócił do domu, gdzie odtąd na niczem mu nie zbywało, i dożył w spokoju i szczęściu późnej starości.

A myśliwy, czyli prorok Eljasz, zabrał się natychmiast do budowy pałacu. Do północy pracował z wielu robotnikami, a o północy, kiedy wszystko było pogrążone w głębokim śnie, błagał Eljasz Boga w te słowa:

Boże Wszechmocny! Dla ciebie się sprzedałem a nie dla siebie. Wykonawcą Twojej woli jestem, by wynagrodzić męża za jego nieskazitelny żywot. Pomóż mi więc, o Boże, w mojem przedsięwzięciu!

Bóg usłuchał modlitwy Eljasza. Natychmiast zlecieli bezszelestnie aniołowie niezliczeni i wchodzące słońce ozłacało swemi promieniami piękny pałac, wykończony w zupełności.

Kupiec dotrzymał przyrzeczenia a prorok Eljasz uleciał sobie w niebiosa.

(Na podstawie wiersza: „Isz chasid haja". „Był sobie mąż bogobojny").

S. H. RECHTER.

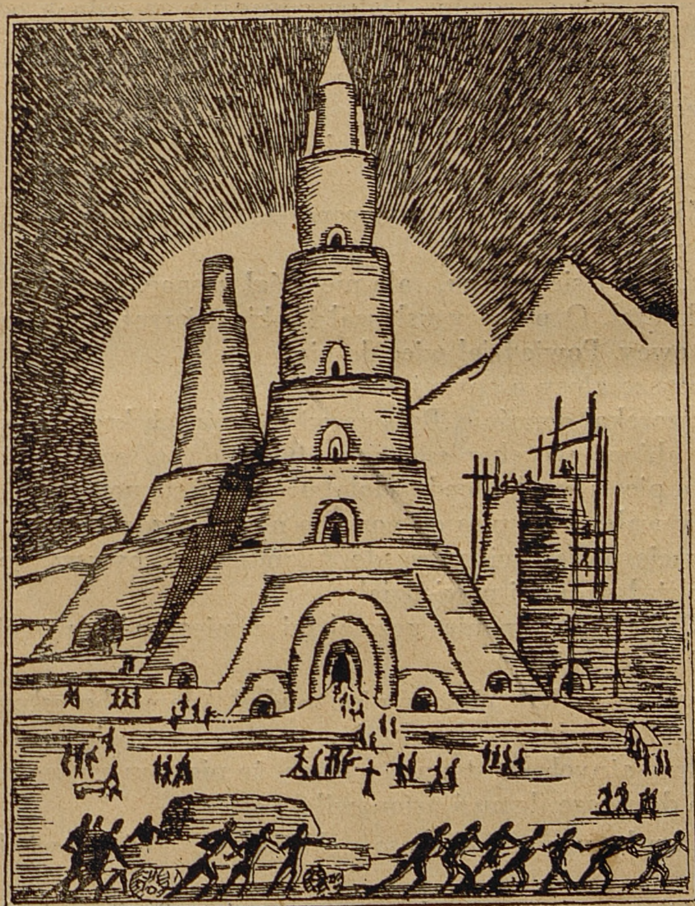


Dlaczego pies z kotem żyją w niezgodzie?

Kiedy Bóg stworzył pośród innych zwierząt psa i kota, zawarli obaj przymierze między sobą, by wspólnie wychodzić na łowy i dzielić się łupem. Minął dzień, nie znaleźli niczego. Drugiego dnia — to samo. Trzeciego dnia powiedział pies do kota:

— Lepiej, by każdy z nas poszedł swoją drogą, bo, idąc wspólnie na głód się narażamy.

Zawarli umowę: odtąd podzielą ziemię pomiędzy siebie. Jeżeli pies pójdzie w lewo, kot pójdzie w prawo, a jeden drugiemu nie powinien wejść w drogę. Kot wszedł do domu Adama, a pies poszedł sobie w świat.



Z dawnych czasów biblijnych „Wieża Babel".

A w domu Adama właśnie zagnieździły się były myszy. Kiedy kot pozostał w domu, myszy poszły szukać innych siedzib. Adam, widząc, że kot mu wyświadczył przysługę, wypędzając myszy, powiedział:

— Bóg zesłał mi obrońcę, należy go godnie przyjąć. I odtąd, kot przebywał w domu Adama i na niczem mu nie zbywało.

Nie tak dobrze powiodło się psu. Los go zapędził w pobliże nory wilka. Kiedy słońce chyliło się ku zachodowi, powiedział pies do wilka:

— Pozwól, bym przenocował z tobą.

— Wprawdzie jestem drapieżnym zwierzęciem — rzekł wilk, — ale, jak długo jesteś w mojej norze, gościem moim jesteś i nie zrobię ci krzywdy. Możesz przenocować.

O północy pies zerwał się, i, bojąc się napadu ze strony wilka, poszedł szukać innej siedziby. Małpa odpędziła go jednak od drzewa, na którem siedziała, także słoń nie przyjął go bardzo grzecznie. Kiedy więc znowu słońce chyliło się ku zachodowi, zbliżył się pies do nory owcy i grzecznie zapytał:

Czy nie mógłbym znaleźć gościny w twoim domu?

Owca odpowiedziała:

— Zaszczycasz mię twoją obecnością. Bardzo przyjemnie mi będzie przebywać z tobą razem.

Pies ułożył się do snu, ale nie mógł zasnąć, bo głód mu straszliwie dokuczał. O północy usłyszał kroki zwierząt, zbliżające się do legowiska owcy. Powiedział więc do niej:

— Słyszę głosy nieprzyjaciół.

I zaszczekał donośnie. Były to wilki, których kroki usłyszał pies. One to zwabione szczekaniem, napadły na owcę, pożarły ją w okamgnieniu, a pies z wielką biedą zdołał uratować się ucieczką.

I tak wałęsał się pies od nory do nory i nigdzie spokoju nie zaznał. Wreszcie postanowił pójść do Adama. Przybywszy do siedziby Adama, zbliżył się doń i powiedział:

— Błagam cię, panie, pozwól mi zamieszkać w twoim domu. Wiernie ci będę służył.

Adam się zgodził. W nocy pies zbudził Adama, bo usłyszał kroki, Adam uzbroił się w łuk, wybiegł z domu w towarzystwie psa i ubił kilka zwierząt drapieżnych. Następnie, widząc, że pies mu się może przydać, przyjął go do swego domu i ustanowił go stróżem.

Kot, usłyszawszy głos psa, zbliżył się doń i powiedział gniewnie:

— Dlaczegoś naruszył nasze przymierze? Przy tych słowach najeżyła mu się sierść i pyszczek ociekał pianą z wielkiej złości. Pies odpowiedział:

— Adam nie może się obejść bezemnie, i tylko jego rozkaz trzyma mię w tym domu.

Gdy Adam usłyszał głos sprzeczających się, zbliżył się do nich i rzekł:

— Nie sprzeczajcie się, przecie obaj jesteście mi potrzebni, obchodzę się z wami łaskawie i nie wyróżniam żadnego z was.

Kot odpowiedział:

— Nieznośnym jest ten pies. Złamał zawartą ze mną umowę.

Pies odpowiedział:

— Wprawdzie zawarłem z nim przymierze i nie wolno mi wchodzić mu w drogę ani naruszać jego granic. Ale przecież nie zabieram mu chleba, a w domu naszego pana nie brak żywności dla nas obydwu.

Ale kot nie uspokoił się. Nie przestał wyrzucać psu jego niewierności i nie przestał kłócić się z nim. I od tego czasu, gdziekolwiek się spotkają pies z kotem, zaczynają nanowo kłótnię i nigdy nie zapanuje pokój między niemi. Bo od rodziców biorą przykład dzieci (Siman abot lebanim): nienawiść panuje między rodem psów a rodem kotów.

Według „Alef-beth d'ben-Sirach — alfabet syna Siracha).

S. H. RECHTER.



Rachela.

Od kilku już dni śnieg padał bezustannie i przykrył grubym płaszczem miasteczko. Życie w małej mieścinie jakby wymarło. Nikt nie wychodził z domu bez wyraźnej potrzeby, bo i mróz się dawał dotkliwie we znaki. Nauka w szkołach ustała a matki zatrzymywały dzieci i pozwalały zabawiać się w ciepłej izbie zamiast wyprawać je, jak zwykle, do „chederu“.

Zrana przelatywały nad miastem stada kruków i wron z przeraźliwym hałasem i pozostawiały uczucie jakiegoś ciężkiego przygnębienia. W mieście ustało życie, ustało też władanie śmierci. Śmierć — zda się — nie chciała robić swym ofiarom tak „chłodnego przyjęcia“ w swych podziemnych apartamentach...

Dziesiątego dnia miesiąca Adar obchodziła Rachela rocznicę śmierci swej matki. Kim jest Rachela? Rachela jest sierotą: Rachela nie ma ojca już dawno a matkę straciła przed rokiem. Litościwi „krewni“ przygarnęli sierotę i „darzyli“ czem mogli. I odtąd życie Racheli, która i dotąd nie zaznała rozkoszy za życia, stało się jednem pasmem niedoli a przez nie przewijała się tylko jedna piękna nić: wspomnienie matki. I kiedy biedna, lekceważona przez nieuczciwych ludzi sierota wylewała łzy gorące nocą na swem posłaniu, pocieszała się jedną myślą: oto

dzień dziesiątego Adar zbliża się coraz bardziej. Uda się w rocznicę na cmentarz, odkryje u mogiły matki swe zbolałe serce i poprosi o wstawienie się u Pana w niebiosach. Wszak i jej matka modliła się z nią tylekroć u mogiły ojca i zawsze Bóg miłosierny zsyłał pomoc, choć krótką.

Z tą myślą obudziła się Rachela dnia dziesiątego Adar. Mróz był okropny. Śnieg prószył ogromnemi płatami i wiatr świstał przeraźliwie. Rachela spojrzała w okno. Blady świt dopiero wstawał. Leżała przez



Abraham prowadzi Izaka na ofiarę.

pewien czas rozmyślając. A więc dziś! Nagle spojrzała powtórnie w okno. Jak tu pójść w taką pogodę? Nie można — szepnęła myśl jakaś. Ale Rachela oburzyła się na siebie. Jakto?! Więc nie pójdzie na mogiłę matki? Cóż z tego, że mróz okropny, że lodem wszystko pokryte w ulicy? Pójdzie.

Już około południa przerwała pracę w warsztacie i odziawszy się w to, co miała najlepszego, udała się do Reb Mendla.

Reb Mendel był szamesem. Należał do tych ludzi, którzy mówią mało, a nie śmieją się nigdy. Jedynem co było mu drogiem, to były pieniądze. Zbierał je, niewiadomo poco i chował, niewiadomo dlaczego?

Do tego Reb Mendla udała się Rachela. Prosiła, by udał się z nią na cmentarz i zmówił „Jizkor" nad grobem jej matki. Reb Mendel spojrzał zdumiony. Nie przywykł, by go wogóle o coś proszono Wreszcie ofuknął ją:

— Oszalałaś? W taką pogodę? Poco!: Racheli zdawało się, że Reb Mendel myśli „za co? za ile?" i serce pękało jej z żalu. Oto matka jej za życia dojść do niczego nie mogła z powodu ubóstwa i z tegoż powodu Reb Mendel wzbraniał się odmówić nad jej mogiłą „Jizkor" po śmierci. Spojrzała na Mendla wzrokiem tak przejmującym i tak pełnym błagania, że ten dorzucił wreszcie. „Przecież widzisz, że nawetbyśmy do mogiły nie doszli, tak drogi śniegiem zawiane".

Rachela została sama. Opuściła ręce. Obraz matki stanął jej przed oczyma i ciągnął ją ku sobie z nieprzepartą siłą Wreszcie postanowiła pójść sama.

Postarała się w sąsiednim domu o łopatę i niespostrzeżona przez nikogo wyszła za miasto.

I poszła.

Brama cmentarna była otwarta. Niezauważona przez odźwiernego weszła na cmentarz, a że dobrze pamiętała drogę, z miejsca zabrała się do pracy. Trzeba było śnieg, którym zawalone były ścieżki, odsunąć łopatą na stronę i krok za krokiem posuwać się naprzód.

Kto widział, jak z oczyma pełnemi łez, ociekających po rozpalonych od gorączki policzkach, smagana wichrem i zamiecią śnieżną, szła biedna, opuszczona, nieszczęśliwa czternastoletnia sierotka na mogiłę swej matki? Widział ten, który jest Niewidzialny.

Ale zwolna siły zaczęły ją opuszczać. Coraz częściej łopata jej wypadała z rąk skostniałych z zimna. Ale choć ciało już było prawie bezsilne, dusza nie chciała się poddać. Szła coraz dalej i dalej. Potykała się, podnosiła, znów upadała i znów resztkami sił dźwigała się z ziemi. Byle dalej.... Byle dojść....

Już siły zupełnie opuściły Rachelę i padła. Padła na mogiłę matki. Bóg wynagrodził sierocie jej trud i pozwolił zaznać rozkoszy rozmówienia się z matką. Rachela objęła rączkami wątłemi mogiłę i przemówiła. Mówiła bezładnie, słowa wśród szlochu więzły w gardle, łzy zamarzały na policzkach. Bardzo długo leżała tak Rachela nad mogiłą.

Wreszcie zaczęła ją ogarniać senność. Coraz bardziej bezładne słowa wymawiała, aż wreszcie umilkła zupełnie. Usnęła.

Od chwili, gdy Reb Mendel odmówił prośbie sieroty nie mógł zaznać spokoju. Spojrzenia ostatniego Racheli, nie mógł zapomnieć. Reb Mendel uczuł skruchę. Przeczuł nieszczęście. Postanowił odszukać Rachelę i przynajmniej ją przeprosić. Biegł szybko od domu do domu; nie było jej nigdzie. Niektórzy opowiadali, że widzieli ją kilka godzin temu z łopatą. Reb Mendel jęknął. Zrozumiał, że Rachela poszła sama. A zapadał już wieczór. Z ogromnym strachem w sercu pobiegł Reb Mendel do odźwiernego, opowiedział mu naprędce całe wydarzenie i obaj rzucili się ścieżką ku Racheli.

* * *

Reb Mendel spóźnił się z pomocą. Rachela usnęła nad mogiłą na zawsze. Aniołowie podnieśli jej duszyczkę na skrzydłach i złożyli ją u stóp Boga.

A gdy nad otwartym jej grobem stanął Reb Mendel i wymówił pierwsze słowa modlitwy za umarłych „Jizkor", przerwał nagle, i ten człowiek, który nie wzruszał się nigdy żadnem nieszczęściem i nigdy łzy nad cudzą nie uronił niedolą, obecnie nad mogiłą nieszczęsnej sierotki szlochał, szlochał, jak dziecko.

Jeśli 11-tego dnia miesiąca Adar zobaczycie na cmentarzu tego miasteczka człowieka zgarbionego ze znakami przedwczesnej starości na twarzy, odmawiającego głosem złamanym „Jizkor", to wiedzcie, że to Reb Mendel odmawia „Jizkor" nad mogiłą Racheli.

Pinches Schmutzer.

Skarb w zegarze.

W pewnem małem miasteczku, żył sobie pobożny starzec. Był sam na świecie. Izdebka, w której mieszkał, wypełniona była półkami a w nich ustawione były wielkie księgi. Wiele z nich pożółkłych ze starości, leżało rozłożonych na stole. Nad jedną z takich siedział pochylony starzec; zatopiony całkowicie w czytaniu, nie słyszał nawet pukania do drzwi. Dopiero skrzyp otwieranych drzwi, zwrócił jego uwagę na przybysza. W mroku wieczoru, zarysowała się u progu postać chudego chłopczyny. Stojąc nieśmiało, nie potrafił w pierwszej chwili wypowiedzieć nawet słów powitalnych. Rozjaśniło się dopiero oblicze chłopca na widok pogodnej twarzy starca, który zwrócił się do niego temi słowy:

— „Ktokolwiek jesteś, jesteś moim gościem", przyczem wskazał mu na chleb leżący na stole i na krzesło.

— Rabi, — rzecze chłopiec, — kiedy tu dziś w południe przybyłem do miasteczka, kazano mi do was udać się panie. Rodziców już nie mam, pomarli mi na wojnie, a pozostała mi po nich ta jedna pamiątka. To mówiąc, wyciągnął niewielkie zawiniątko, a z niego mały drewniany zegar z drobnym wahadełkiem; na płycie zegarowej zamiast liczb, wyrysowane były postacie, a przy każdej z nich litera hebrajska na oznaczenie godzin. Byłto stary zegar, dzieło jakiegoś żydowskiego zegarmistrza-artysty, który wiele pracy włożyć musiał na sporządzenie tak pięknego arcydzieła. Rabi wziął zegar do swoich rąk, a oglądając go bacznie z wszystkich stron, dotknął się języczka, który znalazł u spodu pudła zegarowego. Przy dotknięciu otworzyło się wieczko, a ze schowka wypadł zwitek pożółkłego papieru, na którym wypisanych było tych parę zdań:

„Ten, który odkryje wieko zegarka, znajdzie się w posiadaniu wielkiego skarbu a dojdzie do niego w następujący sposób. W bożnicy miasteczka S.... znajduje się u progu wielka płyta kamienna. Poznać można ją łatwo, bo jest prawie że czarna, a na niej jest wyryta litera hebrajska „lamed". Kiedy podniesiecie płytę, znajdziecie schody, które prowadzić będą do sklepionej piwnicy i tam u wschodniej ściany, złożyłem ja rabi Jochanan ben Urjel z miasta B.... klejnoty, które kiedyś przywiozłem z Indyj".

Po przeczytaniu zwitka, rabi z uśmiechniętem obliczem zwrócił się do chłopca: „Wszchmogący Bóg, Pan nasz nie opuszcza sieroty. Z łaski niebios staniesz się bogatym. Przypadek zrządził i sprowadził cię do mnie. Zważ przeto, byś skarb twój zużył uczciwie i pożytecznie, a pamiętaj i o tych, którzy jak ty, znajdą się w potrzebie". Słowa te, przez starca wypowiedziane, podziałały tak na dusze chłopca, który nagle z ubogiego chłopca stał się bogaczem, że zaniemówił i popadł w omdlenie. Kiedy znowu oprzytomniał, czuł, że przeszedł jakąś dziwną przemianę, że stał się nowym człowiekiem. Przy skromnej wieczerzy, spożytej przy stole starca, snuł chłopiec rozliczne plany. — a pamiętał przedewszystkiem o tem, co mówił starzec: aby nie zapomniał o tych, którzy jak on, znajdą się w potrzebie.

Skarb w zapisku wymieniony, — znajdował się właśnie w bożnicy miasteczka, gdzie przebywał starzec. Należało przeto jeszcze o tem zawiadomić rabina miasteczka i zaznajomić go z treścią zapisku. Tak troje ludzi wiedziało chwilowo o istnieniu skarbca. Potrzeba jeszcze było zbadać czy zapisek naprawdę odpowiada rzeczywistości, czy też skarb ukryty w bożnicy nie jest czystym wymysłem.

Gmina, w której mieściła się bożnica, była bardzo biedna. Sam dom Boży wyglądał ubożuchno, gdyż mieszkańcy nie wiele łożyć mo-

gli na upiększenie przybytku Pańskiego, a że byli ludźmi pracowitymi i chwalili codziennie Pana niebios — przeto Bóg nie dał długo czekać na spełnienie swej łaski. Oto i do uszu biedaków doszła wieść o skarbie i o zegarze. który uczynił „cud" owego jesiennego wieczora w izdebce starca.

Kiedy zabierano się do odkopania skarbca. cała prawie ludność miasteczka, wylęgła przed bóżnice. aby być świadkiem tego niezwykłego zdarzenia. Odprawiono modły na pomyślność sprawy. a następnie wzięto się do pracy: ale z odważeniem płyty szło bardzo ciężko i żadną miarą nie można było jej usunąć. Tkwiła w miejscu jak zaczarowana. stojąc na straży domu Bożego. Zgromadzeni wzięli to za zły znak. ale rabin oświadczył ludowi. że praca pójdzie gładko. jeśli przyszły posiadacz skarbca przeznaczy coś z niego dla świątyni i najuboższych gminy. Kiedy chłopiec zapewnił. że postąpi jak najlepiej i najhojniej — praca poszła szybciej. kamień usunięto a przed oczyma pracujących okazały się schody omszałe. które prowadziły do ciemnej sklepionej piwnicy. Kiedy rabin. starzec. chłopiec. oraz dwóch młodych ludzi, znaleźli się we wnętrzu i stanęli przed wschodnią ścianą. ujrzeli na jednym z bloków kamiennych literę „lamed" jak na kamieniu progowym. W tem też miejscu. wyjęto blok i wyciągnięto wielką skrzynię żelazną. która kryć miała skarb rabi Jochanana ben Urjela.

— - - — - - — — — — — - — — — — — — — —

Przed bożnicą miało nastąpić otwarcie skarbca. Na podwyższeniu szybko wzniesionem. położono skrzynię i gdy odkryto wieko. zajaśniało wnętrze tak niebywałym blaskiem. że olśnił zdumionych widzów. jak objawiony cud. Aż po sam wierzch wypełniona była skrzynia drogocennemi klejnotami. które skrzyły się migotliwą tęczą barw. przy zachodzącym. jesiennym słońcu.

A nagle tysiąc rąk spragnionych i żądnych wyciągnęło się ku tym błyszczącym szkiełkom. Leżały one tam piękne w swej doskonałości i kusiły oczy biedaków. Jeden tylko ich nie pożądał a był nim sierota. On to teraz staje na podwyższeniu i głosem donośnym zwraca się do stłumionej fali głów: „Z woli Boga. doznałem łaski. Znalazłem się w posiadaniu tego oto skarbca: chcę. aby stał się on dobrem nas wszystkich tu obecnych. Skarb nie jest mój — należy on do wszystkich tu zgromadzonych i wszyscy z niego korzystać będą mogli w ten sposób. że za sprzedane klejnoty. zbudujemy piękną świątynię Panu. domy dla starców i opuszczonych sierót. szpitale dla chorych — a dla najbiedniejszych pozostanie jeszcze reszta do rozdziału. Tak pozyskanym skarbcem, cieszyć się będziemy wszyscy. Słuchacze przykla-

snęli temu planowi chłopca. Powoli rozchodzono się do domów, a radość napełniła miasteczko, któremu niebiosa użyczyły szczęścia.

— —

Już po kilku latach, zmieniło się oblicze miasteczka. Na samem jego środku — stała nowa świątynia, czysta i biała, jak synogarlica z pieśni Salomona a wśród niej — wielkie schludne domy dla starców i sierót. W szpitalu zaś i przytułku dla kalek, błogosławiono codziennie sierotę, który przez swój uczynek i zbożne dzieło, przyniósł szczęście wszystkim potrzebującym. Sierota zaś sam ceniony i szanowany, żył najskromniej, będąc zawsze dumą miasteczka.

K.



Sarny.

Dużo kłopotu miała stara sarna, zanim zdołała uspokoić swego synka. Malec był w rozpaczy, bo smutno mu było teraz w lesie, kiedy piękne zielone, czerwone i żółte liście opadły już z drzew i pod lekkiemi krokami sarn szeleściały tęskno za każdem stąpieniem. Nie dosyć że las opustoszał już od dawna, ptactwo wędrowne uleciało do ciepłych krajów, lecz nawet czarno szare, krzykliwe stada wron opuściły las z strasznem krakaniem i udały się w okolice bliższe miast i mieszkań.

W dodatku do tych wszystkich smutków i strapień, najcięższem zmartwieniem koziołka było to, że rano zgubił gdzieś swoje ukochane rogi, które z dumą, z taką radością nosił na zgrabnej główce!

Napróżno sarna starała się go pocieszyć, że to los wszystkich sarniuków w późnej jesieni, i że zato w zimie, odrosną mu rogi jeszcze piękniejsze od tych, które postradał, — będą aż o trzech rosochach, take, jakie posiadają zwykle wszystkie dorosłe sarniuki. Wszak każdy z nich także rogi postradał, a mimo to żaden nie rozpacza.

Mały sarniuk ułagodził wreszcie swój żal, gdy widział jak wiatr igra ostatkiem powiędłych liści, zrywając je z opustoszałych gałęzi i wirując niemi w powietrzu, rozweselił się i pobiegł w stronę jasnej polanki wśród drzew.

A matka sarna też odetchnęła.

Z małym synkiem miała kłopotów niemało. W zeszłym roku jednego takiego swawolnika już jej zły strzelec zastrzelił! A tu ten

drugi, tak samo, jeszcze gdy był całkiem maleńki, gdy nawet sierść na nim była niejednostajnie płową, lecz nakrapianą w białe centki, już był nadzwyczaj żywy i nieuważny, — był jednak przy tem tak zgrabny, tak ładny, że tysiączne psoty jego matka mu zawsze przebaczyć musiała. Gdy wiedział tylko, że coś nabroił, patrzał zaraz tak łagodnie, choć figlarnie swemi dużemi oczyma, czy też się matka nie gniewa? że umiał ją sobie zawsze ująć na nowo i przebłagać.

Ileż to razy sarna, tak zwykle czujna, uważna, przestrzegać musiała malca, że srzelec się zbliża!

Czasem zdawało się, że już będzie po nim — matka drętwiała z przerażenia — ale w tem nagle malec wśród najswawolniejszych skoków, wznosił w górę swoje lancetowate uszy, długości połowy głowy i jak wiatr znikał w gęstwinie leśnej, unoszony na długich zgrabnych nogach, opatrzonych parzystemi raciczkami.

Teraz stanął sobie pod drzewem, a wiatr zrzucał nań wilgotne od deszczu liście i przylepiał je do głowy, do grzbietu, do ogonka tak krótkiego, że go prawie nie widać. Toż to zabawa! Koziołek jest nią uszczęśliwiony; okryje się całkiem liśćmi, może go matka nie pozna?

A rogi, ukochane rogi, które postradał dziś z rana? O, pocieszył się już całkowicie! O wszystko się matki rozpytał, i wie napewno, że mu odrosną w zimie, a choć okryte będą z początku omszoną skórą, ta uschnie wkrótce, to też wytrze ją o pnie i gałęzie drzew.

Nie także późna jesień i zima straszne! Mają i one swoje czary — a choć teraz las pusty i smutny, w zimie ani trawy, ani liści na pokarm nie będzie — młody sarniuk nie będzie się nudził i nie umrze z głodu— od czegoż by były smaczne pączki młodszych drzew.

E. L.



Szem-Tob.

Czy i Saul między prorokami?

(Sam. I, C. X 12)

Cichy wieczór — cichy jak senne marzenie — roztacza swe złociste skrzydła na dziedzinę „Benjamin“. Promienie zachodzącego słońca krwawo-szkarłatną łuną oblały wierzchołki gór, wyzłacały gaje

palmowe i tchnęły blaski ożywcze na smutnie stojące cyprysy. Powietrze napełnione drgającemi promykami, cudownie przeźroczyste, przesiąkłe rajską wonią kwitnących drzew i kwiatów. Tchnienie balsamiczne pól, ogrodów i winnic upaja umysły, napełnia duszę rozkoszą i słodyczą. Rytmiczny szmer strumyka, spadającego z pagórka orzeźwia powietrze. Łagodny szelest gajów oliwnych, jakby zatopionych w cichej modlitwie, poruszanych lekkim zefirem, — trawy kołysane jakby do snu wieczornego. Zewsząd rozbrzmiewają szczebioty ptasząt, spiewających hymn wieczorny. A człowiek z przepełnioną błogością duszą, niema na uściech słów, jeno wznosi swój wzrok ku niebiosom i z głębi swego serca dziękuje Panu, że użyczył swemu wiernemu ludowi przecudnej tej krainy na dziedzictwo wieczne.

Lekki zmierzch przejmuje z wolna nieboskłon. Chwilkę jeszcze walczył z promieniami zorzy wieczornej, która jak roztopione morze złota w mieniących się barwach płonęła na zachodzie, znacząc miejsce, gdzie płomienna tarcza słoneczna skryła się za górami.

Nagle na horyzoncie zarysowuje się postać wędrowca. Mężczyzna to młody, smukły i barczysty. Głowa dumnie wzniesiona, oczy wesołe, twarz smagła, opalona i rumiana. Ma na sobie szaty dostatniego rolnika: torba podróżna, sandały, i biały płócienny płaszcz kurzem okryty świadczą o odbytej dalekiej podróży. Za nim w dali postępuje parobek, prowadzący trzy muły, które raz po raz przystają i ochotnie skubią trawkę zroszoną i soczystą.

Wędrowiec z rozkoszą chwyta pełną piersią powietrze czyste i balsamiczne, rozgląda się okiem znawcy po urodzajnej okolicy i uśmiech zadowolenia rozjaśnia jego dobroduszne oblicze. Znać, myśli o zajęciach gospodarskich, które czekają nań w domu ojca po powrocie. Zbliża się bowiem pora zbioru, plon będzie obfity. Tak rozmarzony kroczy on dalej wśród tego wieczora pełnego czaru i rozkosznego spokoju, jako uosobienie czerstwego zdrowia, siły męskiej i swobodnej myśli, nie sięgającej jednak nigdy wyżej ponad życie codzienne pracowitego kmiotka.

Wtem z cichych rozmyślań budzi go mile wznosząca się zdala poważna pieśń przy dźwięku lutni i fletu. Dźwięczne tony pieśni śpiewanej przez chór młodzieńców, zmieszane z łagodną grą arfy uniesione na skrzydłach zefirowych przelatywały ponad góry, gorejące na szczytach purpurą, ponad gaje szumiące i niwy. Zmieszały się z cichym szelestem ruczaju i płynęły hen — w dal — jako hymn wieczorny wszystkich jestestw, odśpiewany Stwórcy za tyle dobra i piękna.

I zdawało się, że cała przyroda harmonijnie dołączyła swe brzmienia przecudne do tej pieśni, by razem z nią wzbić się pod czysty lazur nieba.

Idąc za głosem pieśni wędrowiec spostrzega niebawem gromadkę młodzieńców, schodzących zwolna z pagórka. Postacie ich wiotkie, lekkie opływają śnieżyste szaty spadające do stóp, nogami ledwie dotykają ziemi, zdają się raczej pływać po niwie, usłanej bujnym kobiercem ziół i kwiatów. Delikatne ich ręce dzierżą lutnie i złociste harfy, z których wydobywają przecudne tony, — usta lekko rozchy-



Czytanie świętej tory (rodałów).

lone nucą pean tryumfalny Debory, boskiej prorokini izraelskiej. Twarze ich promienieją, a wzrok tonący w zachwycie, wzniesiony ku niebu, zdaje się oglądać wspaniałości niebiańskie i majestat Pana.

Schodzą chyżo na równinę, wiatr rozwiewa bujne ich włosy, odsłania twarze o wyrazie cherubina, tchnące spokojem i zachwytem nadziemskim, a szaty tuląc się do traw i pstrych kwiatów, zdają się z nimi spływać w harmonijną całość na kształt mgieł otaczających zieleń równiny.

A dźwięki pieśni lecą bez przerwy, porywają za sobą wszystko wokoło. wciągają wszystko jakby w zaczarowane koło zapomnienia, w którem nic nie ma prócz tonów, brzmiących weselem, radością i mocą: głoszących tryumf i zwycięstwo młodego i dzielnego narodu izraelskiego. Pieśń dalej potężnieje — wyraża dumę i hart ducha i zarazem wdzięczność Najpotężniejszemu, który błogosławił ich usiłowaniu.

Na chwilkę wszystko ucichło. Gromadka otoczyła wieńcem samotną mogiłę przy gościńcu. Na mogile wznosił się olbrzymi głaz, na którym widniał wyryty napis: „Tu spoczywa Rachela matka narodu izraelskiego". Przejęci powagą tego miejsca młodzi nebijim, ze szkoły sędziego proroka Samuela stali chwilkę zatopieni w cichej modlitwie. Niebawem jednak zadźwięczały lutnie i arfy i wzniosły znowu hymn nabożny. Uroczysta pieśń porywa za sobą i wiejskiego wędrowca. Jak cienie nocy przed brzaskiem królowej niebios, tak pierzchają jego myśli powolnie. a w ich miejsce wciska się pieśń. Serce jego napełnia się nieznanem mu uczuciem wzniosłem, a umysł przejmuje się wyższem natchnieniem. Ten prostoduszny chłop, olbrzymiego wzrostu i siły, syn benjamity Kisa. był jakby odurzony. Jak gałęzie palmowe. na które pada iskierka ognista w mig ją przyjmują w swoje łono i zaraz wybuchają płomieniem, sięgającym w serca niebios, tak i jego dusza zapłonęła i zajaśniała światłem nadziemskiem. Przystąpił do młodych nebimji, stanął w ich kole i stał się jednem z ogniw tego łańcucha naokoło mogiły pramatki narodu. I urósł jeszcze coraz bardziej wśród tych wiotkich postaci, serce jego napełniła szlachetna duma, głowę wzniósł hardo ku wyżynie, pięść zacisnął, a z ócz jego tryska płomień. I nie zdając sobie sprawy ze swego stanu, barczysty rolnik zaczął nucić razem z nimi — spiżowy głos swój łączy ze smętnemi dźwiękami fletni i lutni — spływa i kojarzy się z rzewnym i słodkim głosem młodzieńców z uczelni rabi Samuela, ze szkoły proroków w Ramie.

I płynęła pieśń — płynęła żywsza niźli przedtem i wraz ze srebrzystym szmerem źródełka, ze szumem drzew, ze szczebiotem ptasząt, mruczeniem zwierząt polnych, ze świerkaniem owadów tworzyła przecudną melodję, płynęła hen w dal, wzniosła się wysoko ku niebu, łączyła się z chórem serafinów nucących u stóp Przedwiecznego.

Zwabieni czarodziejską tą melodją zerwali się ze wszystkich stron ludzie, zebrali się młodzi i starzy, mężczyźni, kobiety i dzieci i otoczyli śpiewaków w niemym zachwycie.

Wtem odzywa się jakiś głos zdziwiony z tłumu: „Spojrzyjcie, azali ten olbrzym w pośrodku młodzieńców nie jest zwyczajnym chleborobem, wszak to gospodarski syn z naszego sioła. Czy i Saul również między prorokami? — — — —

* * *

Zmierzch wieczorny zapadł, zaiskrzyły się niezliczone gwiazdy na nieboskłonie, zniknęła młódź prorocza, a z nimi uszedł natchniony Saul. A pieśń leciała ciągle jeszcze ponad dzielnicą Benjaminową. Opuszczona samotna mogiła przy drodze w pobliżu Betlehemu otwarła się i wyszła z niej wzniosła postać niewieścia, owiana bielą. Jaśniała jak zorza i jak cherub unosiła się w przestworze. Spojrzała wokoło, uszczęśliwiona, że jej dzieci odziedziczyły ziemicę obiecaną praojcom. Wzrokiem wzniesionym ku niebu wyszeptała w cichej modlitwie: „Panie, wskazałeś twemu prorokowi Samuelowi w niepojętej mądrości pomazańca swego. Niechże króluje szczęśliwie nad nimi — jeśli chcą koniecznie podlegać jednemu z pośród siebie. Ziemianin będzie kochał ojczystą glebę, którą troskliwie uprawiał od młodości". — Następnie podniosła matula ręce i pobłogosławiła swe ulubione dzieci, świętą ziemię żywicielkę i kmiecia proroka, który ma porzucić lemiesz aby dzierżyć berło i powołany został z roli na pana i władcę.

Pieśń przebrzmiała. Poleciała do wszystkich dzielnic Erec-Izraela od Dan do Ber-saby z radosną nowiną. Skończył się bezrząd i zamieszanie; zjednoczy i pogodzi wszystkie pokolenia nowy pomazaniec-król. Wyzwoli swój naród od najezdcy i obdarzy go upragnionym spokojem.



Jutrzenka dla najmłodszych.

Kanarki Julci i Rysia.

Dwa kanarki były w domu. Mieszkały w klatkach. Było im dobrze, bo Julcia i Ryś bardzo dbali o ptaszki swoje. Julcia wyścielała codziennie świeży papier w klatce. Dawała świeży piasek, do jednego korytka nalewała świeżej wody, a do drugiego wsypywała ziarnka siemienia, ziarnka prosa i innego zboża. Jedzenie dla ptaszków nazywano mieszanką. Ryś brał sobie przykład od Julci i uważał także na kanarka.

W zimie przylatywały wróbelki do okna i zaglądały do kanarków. Wróbelkom było zimno, nikt im nie dawał jeść. Patrzyły smutno na jedzenie kanarków.

Julcia to zauważyła. Pomyślała o tem, że należy i wróbelkom i innym ptaszkom pomóc w zimie. Powiedziała więc do Rysia:

— Będziemy sypali przy oknie codziennie ptaszkom ziarno i okruszynki!

— To dobrze! ja także będę sypał! — wykrzyknął uradowany Ryś.

I pamiętały dzieci o ptaszkach w zimie. Ludzie mówili, że Julcia i Ryś mają dobre serduszka.



Rozwiązanie zagadek z numeru 12.

Zagadka: zamek u drzwi.
Łamigłówka: Maj. ara. Jan.
Szarada: herbata.

Zagadki nowe.

Zagadka.

(Nadesłała Zosia Buberówna).

Pastuszek pasie owce. Obok niego przechodzi chłopak i pyta się:

— Ile masz wszystkich owiec?

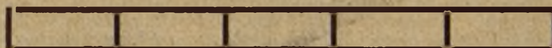
Pastuszek odpowiada:

— Gdy z prawej strony przejdzie jedna owca na lewą, to po obu stronach mam jednakową ilość owiec. A gdy z lewej strony przejdzie na prawą jedna, to po prawej stronie będą miał trzy razy więcej.

Ile było owiec?

Łamigłówka.

(Nadesłała Zosia Buberówna.)



Trzeba zmieścić w każdej kratce po jednej literze, aby się zmieściło: „skoszona trawa".

Rebus.

(Nadesłała Tina Steinwurzel).

le
——— 100 i 100 ł — e — k.
100

Listy i zagadki nadesłali: Adela Adlerówna, Eljakin Rabinowicz, Tina Steinwurzel, Marceli Delfiner, Stella i Dolek Lagstein, Rysia Friedówna, Mundek Spritzer, Mieczysław Roher, Fela Dawidman, Abraham Sussman, L. Hahn, Berta Friedman, Natek Birman, Toldek Neubauer, Henryk Thieberg, Benek Stempel, Markus Einbinder, S. Kornweitz, Franciszek Weingarten, Anna Katz, Henryś Kurzer, Leon Goldwerk, Stella Schwadronówna, Jurek Selinger, Schleyen, Jenia Fabjanówna, Rózia Weretin, Roman Ecker, Beno Palant, Genia i Maniusia Pretzel, Izrael Kramm, Karol Sussman, Rachela Rosengarten, Renata Stamówna, Irma Gleicherówna, Tusia Brillówna. Jutrzenka dziękuje bardzo wszystkim za listy, zagadki i życzenia.

Redakcja umieszcza zagadki, łamigłówki i szarady pod następującemi warunkami: 1) gdy zawierają rozwiązania umieszczone na dole osobno w przesłanej pracy stosownie do pomysłu autora, 2) gdy nie są odpisane z książek i gazet innych. 3) gdy są dobre i nadają się do druku.



Poczta Jutrzenki.

Do Lusi Rebhun: Napisałaś bardzo ładny list do pani, Jutrzence się bardzo podoba.

Do Edwarda Rismaka: Miło nam było poznać cię. Dziadziu Twój dobry, poprowadził cię aż do redakcji.

Do Marcelego Schleyena: Twoje rozwiązanie nie nadeszło. Czy adres był dobry?

Do F. Meier: Twoje rozwiązanie nie nadeszło także.

Do Karola Sussmana: Książeczkę wysłaliśmy. Przy sposobności napiszemy.

Do Henryka Kurzera: Zagadka dobra. Prześlij nam trochę łatwiejszą.

(Ciąg dalszy w następnym numerze).

Z listów do redakcji.

Kochana Jutrzenko!

Słyszałam, że jesteś ciekawa na naszą szkołę, postaram się więc Twoją ciekawość zaspokoić. Szkoła ta powstała w r. 1929 i posiada 3 klasy. — Słyszałam coś o „Radosnej szkole“ i zdaje mi się, że jest do naszej podobna, bo uczęszczamy do niej chętnie, czujemy się bardzo dobrze i z żalem tylko zostajemy w domu koniecznością zmuszone. Z nauczycielkami naszemi robimy wycieczki, bawimy się na pauzach, zadając im przytem dużo, dużo pytań i zawsze dowiadujemy się nowych i ciekawych rzeczy. Mamy jeszcze oprócz tego inne jeszcze przyjemności o których ci wspomnę.

I. KUPON DO ZAGADEK KONKURSOWYCH „NASZEJ JUTRZENKI“.

Imię i nazwisko: ....

miejsce zamieszkania: ....

ulica i numer domu: ....

Tego roku przypomniała nam szkoła, że mamy święta, któremi się cieszyć możemy. Urządzono dla nas piękny wieczorek chanukowy, który nam tyle sprawił radości... Pierwszym punktem był żywy obraz „Menorah", w którym brały udział dziewczynki 2-ej i 3-ciej klasy. Wszystkie były w złotych sukienkach i opaskach na główkach i trzymały płonące świeczki. Bardzo się ten obraz podobał publiczności. Ładnie wypowiedziała później nasza koleżanka zagajenie, następnie była „Rewja rzemieślników przy swych warstatach pracy", a najpiękniejszą rzeczą było: „Dziewczynka z zapałkami i taniec duszyczek", gdzie brały udział dzieci z pierwszej klasy. Wyglądały prześlicznie w strojach obmyślonych przez nasze panie i były gorąco oklaskiwane.

Pozdrawiam Cię serdecznie

Anita Johannesówna.

Trafne rozwiązania zagadek nadesłali:

Józio Pohoryles, Helena Sobelówna, Amalja Lichtman, Rachela Rosengarten, Karol Sussman, Hornówna Dora, Weretin Rózia, Klein Jechiel, Ernestyna i Adaś Kober, Kramm Izrael, Sternbach Natan, Rosenstreich Dolek, Goldfinger Zawulek, Pretzel Genia i Maniuś, Weitz Bronia, Schall Edward, Palant Beno, Roman Ecker, Rismak Edward, Appelberg Marcel, Kozower Matuś, Otto Letz, Rosenfeld Salo, Bernard Sarwiner, Jenia Fabjanówna, Szapse Nüssenbaum, Paula Winter, Irena Kohnówna, Samson Kohl, Helena Freitag, Henryk, Bronek i Lina Serles, Gerszon Aksel, Jurek Selinger, Henryk Bauer, Juljusz Kark, Danusia Gerstmanówna, Henryk Spät, Zofja Mehrówna, Zofja Buberówna, Jula Barachówna, Schierer Szymon, Anna Katz, Józef Pohoryles, Leon Goldwerk, Bienenwald, Jakób Leopold, Zygmunt Blatt, Gizia Bilbel, Józef Parnes, Mojżesz Schlosser, Czaczkes Marceli, Weingarten Franciszek, Henryk Biegeleisen, Renata Hirschfeld, Toldek Neubauer, Birman Natek, Thieberg Henryk, Nussbaum Zygmunt, Ebner Helena, Irena Klapper, Einbinder Markus, Leon M. Friedman, Simon Kornweitz, Izydor Hirschhorn, Regina Singer, Rela Linker, Henryk Fisch, Hugo Feuerberg, Henio Astman, Schall Klara, Hirsch Naftali, Lichtman Amalja, Benek Stempel, Berta Friedman, Jakób Goldring, Józef Fischman, Abraham Sussman, Elza Pilitzerówna, Salo Gewürz, Grebel Fryderyk, Irena Rosenfeld, Artur Grossman (jun.), Paulina Pordes, Fancia i Berta Münzer, Izek Eckert, Fela Dawidman, Elza Ratzówna, Henryk Singer, Hania Safier, Mundek Spritzer, Zygmunt Holzman, Leopold Hahn, Mala Offner, Rózia Selinger, Felicja Fischówna, Zygfryd Atlas, Chierer Salomea, Zosia Samueliówna, Soldówna Felicja, Karlówna Sylwja, Bernard Kisileńko, Pillinger Bertold, Stella i Dolek Lagstein, Rysia Friedówna, Fela Schattnerówna, Fela Beckmanówna, Chaskel Rosenberg, Sydzia i Karol Oberhard, Mundek Gottlieb, Rachela Münzer, Temcia Kurzer, Helena Sobelówna, Estera Manówna, Salo Roman, Sara Dunkelblum, Gizela Ritlówna, Eljakim Rabinowicz, Stramer Gizia, Eljasz Graubart, Jetka Wunsch, Tina Steinwurzel, Gertruda Brendel, Anita Johanesówna, Edmund Ringler, Ludwik Ase, Józef Bosak, Aleksander Mark, Weinbaum Gustaw, Alfred i Aleksander Goldstaub, Abraham Spatzner, Seide Jakób, Tobjasz Reizes, Salomon Grütz, Zucker Józef, Bombach Leon, Flaster Jonasz, Izak Berger, Kupfer Karol, Unterman Henryk, Silberman Juda, Józef Tannenbaum, Zwicker Maks, Feliks Münzer, Stramer Joachim, Reder Oswald, Leopold Dintenfass, Ludwik Neu, Renata Stamówna, Walter Lindenberger, Irma Gleicherówna, Tusia Brillówna, Jakób Perlmutter, Herbert Renner, Fela Beckmanówna, Adolf Sygal, Dziunia Donner.

Od Administracji.

Począwszy od stycznia 1930 r. wydajemy „NASZĄ JUTRZENKĘ“ jako piękną książeczkę, powiększoną. Uczyniliśmy zadość życzeniu wszystkich naszych czytelników. Książeczki „JUTRZENKI“ zawierają przepiękne historje, baśnie, artykuły i zagadki znanych i cenionych pisarzy, a obrazki są pracami wybitnych artystów - malarzy.

Prenumerata roczna „NASZEJ JUTRZENKI“ wynosi 5 zł, półrocznie 2 zł 70 gr. Numer pojedynczy 50 groszy.

—::—

Administracja uprasza wszystkich prenumeratorów, którzy nie dostali czasopisma za styczeń o natychmiastowe zawiadomienie. Od stycznia obowiązuje bowiem nowy sposób doręczania czasopisma przez Pocztę za kartami prenumeraty. Prosimy dlatego o rychłe zawiadomienie w razie niedoręczenia pisma, ażeby można błędy w doręczaniu naprawić. Najlepiej napisać kartkę korespondencyjną z dokładnym adresem do Administracji.

„NASZA JUTRZENKA“ jedyne pismo polskie (ilustrowane) dla dzieci i młodzieży żydowskiej.
Numer pojedynczy 50 groszy. — Konto czekowe P. K. O. 149.547.
Telefon 32-31
Redakcja i Administracja: Lwów, ul. Janowska 26.
Do nabycia w biurach dzienników, księgarniach, trafikach i kioskach.

Prenumerata „Naszej Jutrzenki“ wynosi:
półrocznie z przesyłką 2 zł. 70 gr. — — — — — — — rocznie 5 zł.

Cena ogłoszeń jednorazowo:
cała strona 50 zł., 1/2 strony 25 zł., 1/4 strony 12 zł. 50 gr., 1/8 strony zł. 25 gr.
Opust za 3-krotne ogłoszenie 10%, — za 6-krotne 20%, — za 12-krotne 30%.

Wydawca i odpowiedzialny redaktor: **Dawid Berlas.**
Z drukarni A. Gojawiczyńskiego we Lwowie, ul. Kopernika 20. — Telefon 28-18.